

Konferencje biblijne 2000/2001 — Czytamy listy do 7 Kościołów Apokalipsy

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis — skorygowany do grudnia 2012 roku na podstawie nagrań cyfrowych: J. Paczyński

Spis treści

1 Apokalipsa św. Jana — Listy do 7 Kościołów (dn. 23 października 2000)	2000/2001 – 1
2 List do Kościoła w Efezie (dn. 20 listopada 2000)	2000/2001 – 11
3 List do Kościoła w Smyrnie (dn. 11 grudnia 2000)	2000/2001 – 20
4 List do Kościoła w Pergamonie (dn. 15 stycznia 2001)	2000/2001 – 29
5 List do Kościoła w Tiatyrze (dn. 12 lutego 2001)	2000/2001 – 37
6 List do Kościoła w Sardes; „Sprawa” Jedwabnego (dn. 12 marca 2001)	2000/2001 – 47
7 List do Kościoła w Filadelfii (dn. 9 kwietnia 2001)	2000/2001 – 58
8 List do Kościoła w Laodycei (dn. 14 maja 2001)	2000/2001 – 67
9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001)	2000/2001 – 77

Ostrzeżenie

Wykłady zostały spisane po raz pierwszy z archiwalnych nagrań podczas roku akademickiego 2000/2001. Nagrania były dokonywane w wersji analogowej, na mikrokasetach. W roku 2003 dokonano pierwszej korekty, na podstawie innego kompletu kaset. Od jesieni 2012 r., po ponownym odsłuchaniu z wersji cyfrowej, dokonano ostatecznej korekty. Odczytywanie dźwięku przy pomocy komputera i programu edytora dźwięku pozwala na nieporównanie bardziej precyzyjny odczyt w porównaniu z magnetofonem taśmowym.

Ale ten dźwięk cyfrowy powstał z przekształcenia oryginalnego dźwięku analogowego, zapisanego na taśmach magnetycznych. Wszystkie prawie wady pierwotnego zapisu zostały więc zachowane. Np. słychać w niektórych miejscach, jak zmniejszała się prędkość przesuwu taśmy podczas zapisu, zapewne na skutek wyczerpywania się baterii. Słychać też i inne zniekształcenia nieliniowe.

Kaseta 2 × 30 minut nie wystarczała do nagrania całej konferencji. Z tego powodu opuszczane są modlitwy wstępna i końcowa, oraz różne sprawy aktualne, nie związane bezpośrednio z głównym tematem.

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisałby nieco inaczej.
- Tytuły (dla lat i poszczególnych wykładów) są w większości tylko moim pomysłem. Wprowadziłem je dla ułatwienia orientacji w tekście, którego nagromadziło się sporo.
- Akapity, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Nie udało mi się odtworzyć trzech fragmentów nagrań, przerw wywołanych przekładaniem kasety. Zaznaczyłem te miejsca w tekście.
- Mniej znane nazwy i nazwiska, wszystkie słowa np. hebrajskie, itp. — pisane ze słuchu — prawie na pewno są niepoprawne. Czasami udawało mi się coś zweryfikować w słowniku czy encyklopedii, często było to niemożliwe lub brakowało mi na to czasu.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją. A od lata 2003 pojawiła się perspektywa szerszego rozpowszechnienia przez Akcję Katolicką.

Jerzy Paczyński

9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001)

Ja jestem prawdziwie szczęśliwy, że na sam koniec tegorocznych spotkań możemy sobie powspominać, powiedzieć i pomyśleć o kardynale Stefanie Wyszyńskim. Cały czas te konferencje miały charakter biblijny, staraliśmy się zgłębiać księgę Apokalipsy — listy do siedmiu Kościołów Azji Mniejszej. I należało się tylko cieszyć z tego, że tak liczna obecność dowodziła, że jest to problematyka, która państwa interesuje. Ale dzisiaj, na sam koniec tych konferencji dobrze się składa, że chcemy dotknąć fragmentu naszych ojczystych dziejów i chcemy zastanowić się nad postacią, która na te dzieje miała niezwykle trwałe i niezwykle aktualny wpływ.

Otóż chciałbym dzisiaj przedstawić państwu tę postać od strony, na tyle na ile to mi się uda, najbardziej ludzkiej, jak to tylko możliwe. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo faktów, o których z pewnością nie wiecie. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo o takich rysach jego osobowości, i takich wydarzeniach z życia kardynała Stefana Wyszyńskiego, które są wspomniane bardzo rzadko i w trudno dostępnej literaturze. Nie chciałbym mówić o rozmaitych uwikłaniach społecznych i politycznych, bo na te tematy powiedziano bardzo wiele. Natomiast *chciałbym ukazać państwu kardynała Wyszyńskiego jako człowieka, jako jednego spośród nas, i pokazać, jak od samego początku, od jego dzieciństwa, kształtowała się jego droga życiowa*. I z całą pewnością niejedna czy niejeden z nas będzie mógł porównać tamtą drogę życiową z własnym życiem. A ponieważ życie kardynała Wyszyńskiego pokrywało się, w dużej mierze czasami, z życiem wielu spośród nas, to zapewne będziemy mieli jakiś punkt odniesienia do tego, żeby zastanowić się nad sobą.

Jest wśród nas i pokolenie młode, dziewczęta i chłopcy, którzy mają lat kilkanaście albo dwadzieścia kilka — dla nich to już jest absolutnie historia. Chcielibyśmy zatem w ten sposób złożyć hołd Słudze Bożemu i przypomnieć, że w tym roku przypada 20 rocznica jego śmierci, która miała miejsce 28 V 1981 r., w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Natomiast za kilka tygodni przypada 100 rocznica jego urodzin. Urodził się bowiem 3 VIII 1901 r. I ten bieżący rok został przez sejm Rzeczypospolitej ogłoszony *Rokiem kardynała Stefana Wyszyńskiego*. I jak państwo dobrze wiedzą, prawie dwa lata temu najpierw ustawą sejmową podpisaną przez Prezydenta RP, został również utworzony Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Zacznijmy od samego początku. Myślę, że żeby zrozumieć tę osobę, tę postać niezwykłą, trzeba się cofnąć rzeczywiście do samych początków. Stefan przyszedł na świat 3 VIII 1901 r. Urodził się w Zuzeli, ok. 70 - 80 km na północny wschód od Warszawy, w miejscowości, którą być może część z państwa zna. Ja bym bardzo serdecznie zachęcał do tego, aby w tym roku odwiedzić tę Zuzelę, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Jedzie się w kierunku na Ostrów Mazowiecką i skręca się w prawo, albo jedzie się w kierunku na Małkinię, i tam się odpowiednio skręca. Wystarczy pierwsza lepsza mapa samochodowa, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Myślę też, że na 3 sierpnia my tutaj w naszej parafii urządzimy wspólną pielgrzymkę do Zuzeli po to, żeby oddać mu hołd.

Ojciec był organistą w Zuzeli i mieszkał dosłownie po drugiej stronie drogi — kościół jest po prawej stronie drogi, natomiast organistówka po lewej. Można zatem powiedzieć, że mały Stefan wychował się bezpośrednio w sąsiedztwie kościoła. Pod tym względem jest przedziwna analogia do okoliczności narodzin i życia Karola Wojtyły. Również Karol Wojtyła urodził się w domu, który przylegał bezpośrednio do kościoła Narodzenia NPM w Wadowicach, zatem w bardzo bliskim sąsiedztwie kościoła. Rozmaicie tego rodzaju bliskość młodym ludziom służy. Nie zawsze jest tak, że ci, którzy rodzą się i mieszkają w bliskości kościoła, są gorliwi — bywa odwrotnie. Tutaj jednak mamy do czynienia z takim zbiegiem okoliczności, który na pewno przesądził o charakterze jednego i drugiego.

Miał trzy siostry urodzone z tej samej matki, i rzecz jasna z tego samego ojca. Matka jego zmarła, kiedy miał 9 lat. Wkrótce ojciec powtórnie ożenił się i urodziła się jeszcze jedna siostra przyrodnia. Ponieważ miał cztery siostry często później wspominał, że bywał rozpieszczany. Z drugiej strony często wymagano od niego więcej, niż od dziewczynek. Wspominał takie to wydarzenie z bardzo dziecinnych lat, w którym musiał przyznać się do tego, że jak mówił „był psotny”. Pewnego dnia pozbierał wszystkie lalki swoich sióstr, rozpruł je i wyrzucił. To wywołało oburzenie wszystkich sióstr. Natomiast kiedy ojciec z pasem zbliżał się, żeby go ukarać, wtedy wszystkie

dziewczynki osłoniły go własnymi sukienkami, spódnicami, nie pozwalając go bić. Od tamtej pory nabral wielkiego szacunku dla swoich siostr, nigdy więcej nie psuł im lalek, i powiedział, że „zrozumiał przedziwną naturę kobiety, która jest gotowa dostąpić jakiejś krzywdy, a mimo to jej miłość jest silniejsza niż to poczucie krzywdy”. To wspominał kardynał Wyszyński później przez całe życie, zatem musiało to być dla niego wydarzenie bardzo ważne.

Urodził się w rodzinie, gdzie ojciec ciężył ku Jasnej Górze, odbywał pielgrzymki na Jasną Górę. Natomiast w kościele parafialnym w Zuzeli był obraz najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym jego ojciec często się modlił. Natomiast jego matka pielgrzymowała do Ostrej Bramy w Wilnie. W związku z tym rodzina była jak gdyby podzielona. Sam wspominał później, że urodził się w rodzinie mickiewiczowskiej wręcz z Inwokacji do „Pana Tadeusza” o Pannie Świętej co w Ostrej świeci Bramie i Jasnej broni Góry. Urodzony, i to też jest przedziwna zbieżność, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Wilnem a Częstochową. Do Częstochowy z Zuzeli jest mniej więcej 300 km, a do Wilna ok. 350 km. Ponieważ rzecz jasna urodził się w okresie zaborów, więc granice były zupełnie inne, niż są teraz, podobnie w okresie międzywojennym. Dlatego Ostra Brama była mu bliska, i bliska mu była również Jasna Góra. Mówił, że jego pobożność rozwijała się pomiędzy tymi dwoma ośrodkami.

Tam, na wsi w Zuzeli, rósł jako dziecko, jako chłopiec. Wspominał, że bardzo lubił atmosferę wsi, że bardzo lubił zielen, przyrodę, czuł tę przyrodę. Przez całe życie mógł naśladować śpiew ptaków, który ciągle jeszcze pamiętał. I że w różnych miejscach później brakowało mu choćby rechotania żab. W 1910 r., kiedy mały Stefan miał 9 lat, zmarła mu matka. Było to dla niego przeogromne przeżycie. Opowiadał później, raz i drugi, że matka zwracała wielką uwagę na córki, na dziewczynki. Wskutek tego on czuł się jakby troszeczkę na boku, ponieważ zostawiała jego wychowanie bardziej ojcu. Ale to nie chodziło o to, że wychowywał go ojciec, tylko chodziło o to, że matka jakby wstydziła się nadmiaru czułości wobec chłopca. W związku z tym on jako mały chłopiec bardzo lubił siedzieć na kolanach matki. A zdarzało się, że ta największa bliskość była wtedy — i to wspominał — kiedy nabił sobie guza. Wtedy matka brała go na kolana i przykładła mu do czoła nóż, taki zimny nóż, który miał tego guza na czole ściągać. I kardynał wspominał, że zawsze myśl o matce kojarzyła mu się z tym zimnym nożem przyłożonym do czoła, który łagodził ból. I mówił, nie bez takiego smutku i nostalgii, że potem wiele razy miał taką myśl, żeby jeszcze raz tak się fortunnie przewrócić, żeby znów znaleźć się na kolanach matki.

Stracił matkę mając 9 lat. Było to dla niego ogromne przeżycie, wywołało bunt dziecka, które poczuło się mocno osierocone. Wkrótce ojciec ożenił się z bliską przyjaciółką matki, która bardzo starannie i z całym sercem zajęła się wychowaniem tych czworga dzieci. I urodziła jeszcze jedną córkę. Wspominał tę drugą matkę zawsze z ogromnym szacunkiem i z ogromnym oddaniem. Znał zatem i życie w rodzinie, i sieroctwo, i przyrodnią siostrę, i matkę przybraną — przeszedł przez wszystko to, przez co nie wszystkie dzieci przechodzą. To spowodowało, że zapewne był nieco wcześniej dojrzały, niż wiele innych dzieci w jego wieku.

Wspominał, że kiedy był dzieckiem ojciec brał go wieczorami i nocami na przejażdżki. Początkowo sensu tych przejażdżek nie rozumiał. Pamiętajmy, że to są pierwsze lata XX wieku. Zuzela znajdowała się pod zaborem rosyjskim, Kościół był bardzo dotkliwie prześladowany. Księża musieli mieć zgodę żandarma rosyjskiego, żeby podróżować z jednej do drugiej parafii. Żeby mogli np. pojechać na spowiedź do sąsiedniej parafii, żandarm musiał się zgodzić. Żeby ksiądz mógł pojechać z jakąś posługą poza teren swojej parafii, musiał mieć zgodę. Księgi metrykalne były prowadzone w języku rosyjskim. Ponieważ jego ojciec był organistą, i ojciec pisał księgi metrykalne, wobec tego mały Stefan zetknął się bardzo wcześnie z językiem rosyjskim. Ale jednocześnie bardzo wcześnie powstawał w nim bunt, że to nie jest w ojczystym języku. Wspominał, że ojciec zabierał go wieczorami i jeździli po parafii, a nawet poza teren parafii, i stawiali przydrożne krzyże. Działo się to w bardzo ścisłej konspiracji. Dopuszczane do tego były tylko 2 - 3 osoby, zaufani mężczyźni, i nieraz byli dopuszczania mali chłopcy, którzy w ten sposób uczyli się patriotyzmu. Podróżowali razem, i tam, gdzie były rozstaje dróg, gdzie jakiś krzyż był podniszczony. Był taki zwyczaj, że wszystkie drogi wyjazdowe z każdej wsi miały krzyż po każdej stronie. Do tego krzyża odprowadzano zmarłych na przykład, dopiero potem prowadzono do kościoła parafialnego. Tak zresztą jest na wsi polskiej po dzień dzisiejszy. Stawiano te krzyże w lasach, na drzewach umieszczano krzyżyki, tam gdzie ktoś zmarł, gdzie ktoś miał wypadek. I on bardzo wcześnie, jako dzieciak, uczył się takiej

postawy głęboko patriotycznej.

Na tym tle możemy zrozumieć epizod, który przesądził o jego życiu. Mianowicie kiedy miał prawie 11 lat zbuntował się przeciwko swojemu nauczycielowi. W tym czasie ojciec przeniósł się już do niedalekiego Andrzejewa, i tam też był organistą. Była to nowa szkoła dla małego Stefana, matka zmarła — i on był taki zbuntowany. Był tam wyjątkowo gorliwy nauczyciel, który kazał im się uczyć po rosyjsku rozmaitych wierszy. Pewnego dnia przyszła pora na Stefana Wyszyńskiego, nauczyciel kazał mu recytować wiersz po rosyjsku. Stefan odmówił. Wówczas nauczyciel kazał mu wyciągnąć łapę i linijką wlał mu kilka czy kilkanaście razy. Stefan wyszedł z tej szkoły i powiedział, że do niej więcej nie wróci. Ojciec miał wielki problem, bo syn zaparł się i powiedział, że do tej szkoły więcej nie pójdzie. Miało to ten szczęśliwy skutek, że ojciec miał w Warszawie przyszywaną ciotkę i ten 11-letni chłopiec został skierowany do Warszawy. I znalazł się w Warszawie, gdzie uczył się w Gimnazjum Górskiego. Bawił się wtedy w okolicach Ogrodu Saskiego. Tu miało miejsce wydarzenie, które później wspominał w niezwykłych okolicznościach. Otóż kiedy miał 12 - 13 lat, w Ogrodzie Saskim była usypana przyzma piachu, coś w rodzaju kopca. W sąsiedztwie był garnizon rosyjski. I na ten kopiec przychodziły również dzieci rosyjskie, chłopcy rosyjscy. Polscy chłopcy spotykali się pod tym kopcem i z chłopcami rosyjskimi regularnie stacjali bitwy. Bardzo często, wyznawał Stefan Wyszyński, wracał do swej ciotki nieźle posiniaczony i obdarty. A pewnego dnia, wspominał też, że kiedy zdobyli ten kopiec to zerwał z siebie białą koszulę, miał również na sobie czerwony krawat — to nie były czasy PRL-u, więc się czerwien nie kojarzyła — zatknął koszulę na kij, dodał czerwony krawat i w ten sposób dał poznać, że Polacy zdobyli ten kopiec.

Dlaczego to jest takie ważne? Kiedy w czerwcu 1979 roku przyjechał do Polski Ojciec Święty Jan Paweł II, i kiedy odprawił mszę świętą na Placu Zwycięstwa, wtedy ksiądz Bronisław Piasecki, wówczas kapelan księdza kardynała Wyszyńskiego, obecnie proboszcz parafii Najświętszego Zbawiciela, przekazał następujące wspomnienie. Msza święta pontyfikalna się skończyła, Ojciec Święty wrócił do siebie i przebierał się, a kardynał Wyszyński kierował się w stronę Miodowej. I kardynał Wyszyński zwrócił się do księdza prałata Piaseckiego; „O czym teraz myślisz?” Prałat Piasecki, jak sam wyznaje, szukał jakiejś religijnej, teologicznej, pobożnej odpowiedzi. I coś tam bąknął, o czym on myśli. A kardynał Wyszyński mówi: „Wiesz co? A ja to myślę teraz o tym, jak jako chłopaki żeśmy zdobyli tutaj ten szaniec na Rosjanach i jak wywiesiłem tutaj tę biało-czerwoną flagę z mojej koszuli. A dzisiaj Pan Bóg jeszcze raz wywiesił tutaj biało-czerwoną flagę.”

Proszę zwrócić uwagę, jak głęboko musiało to zapaść w jego pamięć, skoro na Placu Zwycięstwa w 1979 roku, a więc on sam miał 78 lat, połączył tamto wydarzenie z dzieciństwem z wielkim wydarzeniem, które miało miejsce wraz z przybyciem Ojca Świętego Jana Pawła II. Zwróćmy uwagę na to niezwykle niepodległościowe, patriotyczne nastawienie. Cały czas miał niechęć do języka rosyjskiego, bo kojarzył mu się z zaborami. Ale nie oznaczało to wcale niechęci do Rosjan, nie miał żadnych urazów do ludzi innej kultury czy rasy. Jednak było w nim to, że urodził się i wychował właśnie w czasach zaborów.

W latach 1912 – 1914 był gimnazjalistą w Gimnazjum Górskiego w Warszawie. Kiedy wybuchła I wojna światowa, opuścił Warszawę i ojciec zabrał go do Łomży. Tam przebywał przez trzy lata. Tam też poczuł, co to znaczy patriotyzm. Wspominał m.in. zakaz mówienia polskich wierszy publicznie. Wspomina, że był taki okres, w którym za mówienie o Polsce policja karała młodych ludzi karą chłosty pejciami — od 10 do 25 razów. I on zarobił kiedyś 15. Stwierdził, że to było jego pierwsze świadome cierpienie, które odbył za Polskę.

Zwróćmy uwagę, że ten życiorys jest bardzo charakterystyczny. To nie jest jakieś spokojne dziecko, wiecznie przy zakrystii, przy księżach. Tego w nim nie było. Była pobożność, ale jednocześnie głęboki patriotyzm, i niezwykle żywy człowiek. Kiedy miał 16 lat wyznał ojcu, że chciałby pójść do seminarium duchownego. Ojciec mu nie tyle odradzał, co zapytał czy wie, co to znaczy. Ojciec przecież całe życie pracował z księżmi, wobec tego znał realia pracy kapłańskiej i kapłańskiego stanu, i dobrze wiedział, że nie jest to ani łatwe, ani tak proste, jak wyobraża to sobie 16-letni chłopak. Oczywiście młody Stefan nie bardzo wiedział, co to znaczy, stwierdził jednak, że jest zdecydowany. Ojciec przeciw tej decyzji specjalnie nie oponował, nie przeciwstawiał się. Zatem tuż pod koniec I wojny światowej wstąpił do seminarium duchownego. Ta nauka, ten pobyt w seminarium trwał do 1924 r. Ciekawe jest, jak wspomina swoją podróż do Płocka. Najpierw furmanką do Małkini, później pociągami do Warszawy, a później statkiem do Płocka — tak się wtedy podróżowało. Tak

mu ta podróż utkwiała, że zawsze wydawało mu się, że Płock to jest strasznie daleko, bo podróżował i furmanką, i pociągiem, i statkiem — aż wreszcie do tego Płocka dotarł. W Płocku był w tzw. niższym seminarium, które wtedy istniały, potem przeniósł się do Włocławka, gdzie było wyższe seminarium.

Tutaj zaczyna się swoisty, jeżeli tak można powiedzieć, dramat tego młodego człowieka. Kiedy zbliżały się święcenia kapłańskie miał 23 lata i trzeba było starać się o zgodę biskupa na otrzymanie tych święceń. Prawo kościelne przewiduje bowiem, że święcenia kapłańskie może przyjąć mężczyzna 24-letni. Natomiast dla młodszego potrzebna jest zgoda biskupa, coś takiego, jak do małżeństwa. Z tą zgodą biskupa zaczęły być problemy dlatego, że zapadł na zdrowiu. Otóż zachorował na gruźlicę. I w związku z tym kiedy jego koledzy zbliżali się do święceń kapłańskich, jemu święceń kapłańskich odmówiono. I nie miał święceń kapłańskich razem ze swoimi kolegami.

Przeżył to niesłychanie mocno dlatego, że bardzo chciał być księdzem, i bardzo się do tych święceń przygotowywał. Było to jednocześnie głębokie przeżycie dla jego ojca i dla jego rodziny. Bo rozumieją państwo, przychodzi termin święceń, prawie wszystko gotowe, inni święcenia otrzymują, natomiast on nie. Otrzymał święcenia 3 sierpnia 1924 roku, otrzymał je sam jeden w kaplicy seminaryjnej, skromnie. Dlatego nie miał tak doraźnie kolegów z kursu, kolegów z roku, bo ci już byli księżmi, już nawet zostali skierowani na parafie. Natomiast on czekał jako diakon, wreszcie doczekał się i na początku sierpnia z rąk biskupa Owczarka te święcenia kapłańskie otrzymał. Miał mieć mszę świętą prymicyjną, ale właściwie w jego bezpośrednim otoczeniu była tylko jedna z jego rodzonych siostr. I z tą siostrą udał się na Jasną Górę, gdzie dwa dni później odprawił mszę świętą prymicyjną.

Ta msza święta prymicyjna na Jasnej Górze przesądziła o jego późniejszych związkach z Jasną Górą. Nigdy wcześniej pobożność jasnogórska jakoś nie była mu szczególnie bliska. Aczkolwiek ojciec pielgrzymował na Jasną Górę, to jednak on wcześniej w sobie tej pobożności nie miał. Dopiero msza święta sprawowana samotnie na Jasnej Górze jakby ukazała mu rąbek tej tajemnicy, która z czasem stała się jego losem. Wspominał, że kiedy sprawował mszę świętą, to modlił się do Pana Boga, żeby chociaż rok pozwolił być mu księdzem. Natomiast zakrystianin, patrząc na niego — gruźlica, był bardzo chudy, i niezbyt szlachetnego wyglądu — powiedział: „Proszę księdza, po co się ksiądz do tego pcha? Po to tylko, żeby tę jedną mszę odprawić i umrzeć?” I kardynał powtarzał też te słowa zakrystianina, który tak wyprawił go w dorosłe życie. Najwidoczniej nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, skoro dane mu było żyć dużo dłużej.

Przez sierpień i wrzesień biskup nie bardzo wiedział, co z nim zrobić, bo był wątłego zdrowia. I właściwie tak podróżował pomiędzy Włocławkiem, a ojcem, i różnymi przypadkowymi plebaniami. W październiku 1924 r. dostał papiery na wikariusza w katedrze włocławskiej. W ten sposób otrzymał pierwszy przydział pracy. Był to okres bardzo trudny. Wcześniej I wojna światowa, następnie najazd bolszewików w 1920 roku. Nie dotarli oni w tamte rejony, ale byli bardzo blisko. To spowodowało wielką traumę. Natomiast lata 20-te to był wielki wpływ prądów komunistycznych, zwłaszcza od strony Białegostoku, Grodna, tam dalej Moskwa itd. Komuniści mieli w głowie ideę fix, że połączą się z tymi na zachodzie, w Niemczech, „i związek nasz bratni ogarnie ludzki ród”. I we Włocławku nastroje prokomunistyczne były dość silne, bo dysproporcje społeczne były przeogromne. Z jednej strony była dość bogata szlachta i chłopstwo, zwłaszcza na Kujawach. Natomiast z drugiej strony była masa bardzo biednych ludzi, którzy głodowali na wsi, uciekali zatem do Włocławka. Tam była słynna Celuloza, pchali się do tego przemysłu, i oczywiście wchodzili również w struktury komunistyczne. Tam Wyszyński poznał problemy społeczne, widział je na własne oczy. Jednocześnie mianowano go redaktorem naczelnym „Słowa Kujawskiego”. To był tygodnik wydawany przez Kościół, w którym poruszano rozmaite lokalne problemy. Biskup poznał się na nim bardzo szybko. Okazało się, że jego zdrowie nagle się poprawiło, w czym zawsze upatrywał swoisty cud. Jego biskup w 1925 r. skierował go na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski. KUL miał wtedy za sobą dopiero niecałe 6 - 7 lat istnienia. Został stworzony przez słynnego Radziszewskiego jako wyższa uczelnia, uniwersytet, a zarazem kościelna, która miała przygotowywać nowe kadry dla niepodległej Polski. Była to więc zupełnie świeża uczelnia. Stefan Wyszyński zaczął studiować na Uniwersytecie prawo kanoniczne oraz katolicką naukę społeczną. Jego studia trwały 4 lata. Ten okres lubelski zawsze wspominał z wielkim entuzjazmem i z wielką serdecznością dlatego, bo był wtedy stosunkowo młody, 26 - 28 lat. Druga sprawa: już skończyły się te problemy ze zdrowiem,

odzyskał zdrowie, stanął już na nogi. I w 1929 roku przyszło do obrony jego pracy doktorskiej. Nosiła ona tytuł: „Prawa rodziny, Kościoła i państwa do szkoły” — problem, który potem odżył w okresie PRL-u i w latach 90-tych.

Ta praca doktorska i jej obrona to zupełnie osobny rozdział, o którym mało kto wie. Otóż doszło do niemałego sporu, który byłby się zakończył dramatem dla Stefana Wyszyńskiego. Bowiem Stefan Wyszyński wygłosił tezę podczas obrony rozprawy doktorskiej, że biskupi nie podlegają jurysdykcji sądów cywilnych, sądów świeckich. Na to jego promotor sprzeciwił się temu bardzo ostro i zapytał, a skąd on to wie, jak on tak może mówić. Młody doktorant z kolei odpowiedział, że jest tego pewny. A kiedy przyparto go do muru i uczyniono z tego powód do niemałej kontrowersji, powstało spore wzburzenie na tej Radzie Wydziału, wtedy młody Stefan Wyszyński stwierdził, że ma dostęp do tajnej klauzuli, tajnego dokumentu, z którego jednoznacznie wynika takie rozstrzygnięcie, jakie przedstawił. Wywołało to furję jego promotora który uznał, że przecież jajko nie może być mądrzejsze od kury. Zarządzono głosowanie. I za tę niesubordynację, że wiedział więcej, niż jego promotor, obniżono mu stopień. Miał dostać piątkę, dostał czwórkę.

Zmiana stron kasety

... mu się krzywda. I ten list przedstawił ojcu Kornilowiczowi, z którym miał później współpracować w latach 30-tych, a zwłaszcza 40-tych, w których wówczas był związany z Laskami. Ojciec Kornilowicz, wielki duszpasterz i wielki przewodnik duchowy, powiedział najpierw, że chętnie ten list przeczyta, a potem powiedział, że ten list wyśle. Wysyłka polegała na tym, że przeszedł do sąsiedniego pokoju i wrzucił list do kosza. Powiedział: „Zamiast tego masz napisać drugi list. I w tym liście masz napisać, że jesteś wdzięczny promotorowi i Radzie Wydziału, że doprowadzili cię do doktoratu, i że dziękujesz za to, co się wydarzyło.” Stefan Wyszyński buntował się, ale drugi list z podziękowaniem za studia i za doprowadzenie do doktoratu napisał. I wtedy, gdy ten drugi list został wysłany i doręczony, Kornilowicz powiedział do Wyszyńskiego: „Zrobiłeś dwa doktoraty. Jeden ten, którym uzyskałeś stopień, a drugi ten, którym okazałeś się silniejszy od swojej słabości.” To też miało dla niego ogromne znaczenie, bo później zawsze podkreślał, że jeżeli człowiek do czegoś dochodzi to nie ze względu na egoizm, któremu to, co uzyskujemy, ma sprzyjać, tylko ze względu na to, że przygotowawali nas do tego inni, i że stajemy się kimś ze względu na innych. To wywarło wielki wpływ na niego, miało wielkie znaczenie.

W 1929 roku, kiedy był już młodym doktorem, odbył — to też jest pewna ciekawa analogia — pierwszą swoją podróż zagraniczną do Włoch, Francji, Holandii, Belgii i Niemiec. Polska była świeżo po kryzysie ekonomicznym. Ta podróż trwała jeden rok. W tym czasie przyglądał się życiu w zachodniej Europie. Dokładnie coś takiego było w życiu Karola Wojtyły. On też kiedy miał lat 26 - 27 udał się na studia do Rzymu i odbył podróż mniej więcej tam, gdzie przedtem Stefan Wyszyński, czyli Francja, kraje Beneluksu i Niemcy. To pozwoliło mu się zetknąć z tamtymi kulturami. Później, po wielu latach mówił, że ta podróż miała dla niego ogromne znaczenie. Bo pozwoliła mu zrozumieć duszę Wschodu i duszę Zachodu. Pozwoliła mu również zrozumieć pewne prawidłowości polityczne. Już po II wojnie światowej powiedział tak: „Na Wschodzie bez przerwy mówią o pokoju. Na Zachodzie bez przerwy mówią o prawach człowieka. A jednym i drugim chodzi dokładnie o to samo.” Więc już na początku lat trzydziestych zobaczył, że to mówienie o prawach człowieka służy również, w dużej mierze, podporządkowaniu tego człowieka i przejęcia swoistego rządu dusz, tylko robione bardziej w białych rękawiczkach niż to, co się działo na Wschodzie. Zatem nigdy nie miał entuzjazmu ani wobec Wschodu, ani wobec Zachodu. Zawsze umiał dowartościować i docenić to geopolityczne położenie Polski, i traktował Polskę jako swoiste przedmurze, w którym te wpływy wzajemnie się ze swoją ścierają.

W tamtych też latach, tzn. w 1930 r., odbył specjalistyczne studia z zakresu prawa kanonicznego w Rzymie. Na tych studiach miało miejsce niesłychanie znaczące wydarzenie. Mianowicie w tamtych latach na uczelni kościelnej studiowali Murzyni. Ale biali z Zachodu, również księża, nie chcieli czy nie mogli siadać koło Murzynów, bo nadal była segregacja w Ameryce, w Zachodniej Europie itd. Więc Murzyn sam siedział w ławce, a biali siedzieli oddzielnie w ławce. I Wyszyński dał się poznać z tego, że siedział koło Murzynów przełamując te wszystkie bariery, jakie jeszcze w ówczesnym świecie istniały. Zawsze więc koledzy kojarzyli go z Murzynami, a Murzyni go uwielbiali. Bardzo go lubili, że oto że wbrew wszelkim zwyczajom, stereotypom i urazom siada koło nich i z nimi

razem słucha wykładów. Wspominał to także później, po latach, że przychodziło mu to zupełnie normalnie, spontanicznie, chociaż — jak mówił — wtedy po raz pierwszy widział Murzyna. Bo przecież w przedwojennej Polsce okazji do zobaczenia Murzynów za wiele pewnie nie było.

Wrócił do Polski w 1931 r. Został mianowany profesorem prawa kanonicznego w seminarium we Włocławku, i jednocześnie redaktorem naczelnym czasopisma, które ukazuje się po dzień dzisiejszy, i nosi tytuł „Ateneum kapłańskie”. Te osiem lat — do roku 1939 — wspominał jako następny piękny czas w swoim życiu. Wykładał dla alumnów prawo kanoniczne i problemy społeczne. Natomiast w „Ateneum kapłańskim” wprowadził, inaczej niż przedtem, dużo problematyki społecznej. Wołał, aby bogaci dzielili się z biednymi. Wołał o usuwanie niesprawiedliwości społecznej. A jako redaktor był znany z tego, że zapraszano go na odpusty w rozmaite miejsca, do różnych parafii. I na tych odpustach głosił kazania. Był przecież profesorem seminarium, był redaktorem naczelnym pisma kapłańskiego, był człowiekiem, który miał za sobą otarcie o zagranicę, wobec tego bardzo go szanowano.

Wspominał, jak to pewnego razu w połowie lat 30-tych został zaproszony na bogatą wieś kujawską. I tam podczas kazania powiedział, że nie może być tak, że bogaci właściciele ziemscy opływają we wszystko, natomiast biedota żyjąca gdzieś tam w czworakach nie ma chleba i mleka dla własnych dzieci. Że należy to przelamać i przewyciężyć, że należy dzielić się z tymi biednymi. Kiedy msza się skończyła, i wrócili na plebanie na obiad, proboszcz zaprosił — nie pierwszy i nie ostatni — samych tylko bogatych, a biedni poszli do domu. Wtedy bogaci poczuli się pewniejsi siebie i przy obiedzie powiedzieli mu tak: „Gdybyśmy zastosowali to, o czym ksiądz doktor mówił, to byśmy wszyscy z torbami poszli.” A on do nich: „I tak pójdziecie!” Trzeba było czekać parę lat, i te słowa się spełniły. Wspominał to z wielkim, jak by to powiedzieć, smutkiem, rozrzewnieniem — dlatego, że nie chciał być takim prorokiem. Ale kiedy przyszła reforma rolna w 1945 r., przyjął to z wielkim zrozumieniem. Bo wiedział, że na wsi przedwojennej było mnóstwo krzywdy. W związku z tym umiał docenić także to nowe, które przyszło po 45 roku.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, diecezja włocławska i chełmińska znalazły się pośród tych, w których księża byli prześladowani w sposób najbardziej okrutny. W ciągu okresu wojennego na terenie tych diecezji zginął, został zamordowany, wywieziony do Dachau, do innych obozów śmierci, prawie co drugi ksiądz. Zatem jest to znów element męczeństwa, aspekt męczeństwa, o którym my zbyt mało wiemy. Przypomnijmy sobie, co Jan Paweł II powiedział parę lat temu w Bydgoszczy — że Polska też potrzebuje napisania księgi polskich męczenników z okresu II wojny światowej. Te elementy, te aspekty historii znamy za mało. Biskup przewidział, że praca duszpasterska będzie tam niemożliwa, i w 39 r. polecił Stefanowi Wyszyńskiemu opuścić Włocławek. Zdawał sobie bowiem sprawę, że o ile duszpasterze muszą tkwić na parafii, nie mogą zostawić ludzi, to skoro zostało zamknięte seminarium, pobyt Stefana Wyszyńskiego na terenie Włocławka groził jego natychmiastowym aresztowaniem i wywiezieniem do obozów. Unikał więc tego aresztowania, i od 39 r. mieszkał w kilku kolejnych miejscach, m.in. we Wrocławiu, gdzie jego ojciec był później organistą. Ocierał się o Warszawę, trochę w diecezji łomżyńskiej — wszędzie pracował jako ksiądz, ale nie zdradzano, że jest profesorem seminarium. Bano się, że zostanie aresztowany, zamordowany bądź co najmniej wywieziony. A wiadomo, że kształcenie nowego profesora zawsze trwa wiele lat. Bo o ile kogoś, kto ma ręczne zdolności, można wykorzystać już dziś, to żeby wykształcić potrzeba długiego czasu. Był więc chroniony.

W 1942 roku znalazł się w Laskach. Tutaj spotkał ponownie, i bardzo się związał z księdzem Kornilowiczem. Posługiwali ludziom, zwłaszcza tym, którzy potrzebowali pomocy. Od 1944 r. był kapelanem okręgu wojskowego Żolibórz - Kampinos. Wtedy pełnił wszystkie funkcje kapelana na przedmieściach Warszawy, pomiędzy Laskami a Żoliborzem. Jedną z jego powinności to było chodzenie po lasach, niby dla spaceru, ale po to, żeby nawiązywać czy podtrzymywać kontakty, wyszukiwać rannych. Tych rannych ściągać, zabierać do Lasek. M.in. w jego wspomnieniach znalazł się taki epizod, jak to pewnego dnia przyniesiono na noszach młodego chłopaka. Był on bardzo bitny, bardzo waleczny, rwał się do walki. Jednak zrobiono mu bardzo ciężką operację wewnętrzną, jakaś resekcja jelit czy coś takiego, było to bardzo bolesne bo nie było znieczulenia. I operacja się nie udała. On oczywiście o tym nie wiedział, jednak lekarze wiedzieli, że jego dni są policzone. On był cały czas przytomny, rwał się do walki. Wybuchło Powstanie Warszawskie. On twierdził, że chce nadal walczyć, i że „Trzeba, żebym na Matkę Boską, 26 sierpnia, był z powrotem pod murami”.

Ksiądz Wyszyński wiedział, że na Matkę Boską będzie on pod murami, ale nie tu, tylko w niebie. Nikt nie chciał tego chłopakowi powiedzieć, bo on się rwał do życia. Ksiądz zdawał sobie sprawę, że nie można go wiecznie oszukiwać i musiał mu przekazać, że właściwie jego stan jest coraz bardziej krytyczny. I wspominał, że ten młody chłopak mówi: „Co też ksiądz mówi! Ależ ja jestem silny!” I podał mu rękę: „Niech ksiądz patrzy, jaki ja jestem silny!” Kardynał wspominał: wziąłem go za rękę, a ta ręka była już prawie umierająca. To już był człowiek, który już jedną nogą był po drugiej stronie życia, i rzeczywiście wkrótce umarł. To była taka posługa, którą ksiądz Stefan Wyszyński pełnił.

Z okresu Powstania Warszawskiego przeżył dwie rzeczy. O jednej i drugiej mówił ksiądz prałat Bronisław Piasecki, który jest jednym z najwierniejszych świadków tego wszystkiego, co wówczas Stefan Wyszyński przeżywał. Mianowicie pewnego dnia pod koniec Powstania, gdy Niemcy podpalili Warszawę — to była druga połowa września 1944 r. — w stronę Lasek kierowały się dymy palonego miasta. Wiatr był dość silny i niósł, poza dymem, rozmaite rzeczy, resztki książek, gazet, papierów, jakichś tkanin. Oni wychodzili i patrzyli w stronę Warszawy. Wyszyński wspominał, że modlił się za tych, którzy ginęli. I pewnego dnia wyszedł bardzo smutny i bardzo zły na Niemców, że coś takiego zrobili żywemu miastu. I wspominał, jest to bardzo mało znany epizod, głęboko symboliczny, jak to wiatr przyniósł w jego stronę kartki papieru. I okazało się, że te kartki to były jakieś księgi kościelne. I podniósł taką kartkę, spaloną ze wszystkich stron, ale w środku zachowały się tylko dwa słowa. A te dwa słowa brzmiały: „będziesz miłował”. I wziął tę kartkę, spaloną ze wszystkich stron, patrzył na nią i odczytał ją jako znak, jako symbol, jako przesłanie, które ma Pan Bóg dla niego. Dla niego, który jest księdzem, i buntuje się, i przeklina tych Niemców, i otrzymuje, wśród wszystkiego spalonego, przesłanie „będziesz miłował!”

Kiedy Powstanie upadło, na początku października 1944 r., mógł wreszcie udać się do Warszawy. I następne wspomnienie, jakże znaczące. Dotarł na Krakowskie Przedmieście, w okolice kościoła św. Krzyża. I tam Chrystus, strącony przez hitlerowców, poniewierał się na ulicy. I ręka tego Chrystusa była uniesiona ku górze. I Stefan Wyszyński wspomina, że naprzeciw niego — a on był w sutannie, pojawiło się trzech żołnierzy niemieckich, dwóch oficerów i jakiś podoficer. I tylko byli oni i on. Oni szli z naprzeciwka, a on szedł w stronę ich i w stronę Chrystusa, z tą podniesioną ręką. I w pewnym momencie, kiedy się spotkali już przy tym zwalonym Chrystusie, oficer niemiecki najwyższy rangą, pyta go: „Znasz niemiecki?” „Znam.” A oficer mówi: „Ist doch Polen nicht verloren!” czyli „Jeszcze Polska nie zginęła!” To był dla niego szok. Oto Niemiec na krótko przed klęską, ale już zniszczywszy Warszawę — bo oni odpowiadali za tę zniszczoną Warszawę, patrząc na wizerunek Chrystusa, na rzeźbę Chrystusa mówi: „Jeszcze Polska nie zginęła!” To było dla niego wielkie przeżycie. Powiada, że mu to jakoś otworzyło oczy na to, że nie ma ścisłego podziału: Polacy – Niemcy. Że dużo dobrego dzieje się w sercach i tych, których postrzegamy jako prześladowców.

I połączył ze sobą te dwa wydarzenia, te kartkę spaloną: „będziesz miłował” i to niemieckie „Ist doch Polen nicht verloren!” — „Jeszcze Polska nie zginęła!” Przedziwna rzecz, prawda? Kiedy człowiek się nad tym zastanawia, co mógł przeżyć, to warto żebyśmy wiedzieli, że jest to podglebie na którym on dorastał, rozwijał się i na którym dojrzewał.

W 1945 r. wojna się skończyła. Część z państwa pamięta realia powojenne. Dnia 25 maja 1946 roku, w święto Zwiastowania Pańskiego, dowiaduje się, że został mianowany biskupem lubelskim. Miał wtedy 45 lat. Jak na okres bezpośrednio powojenny był biskupem bardzo młodym. Został mianowany biskupem pomocniczym, lecz od razu biskupem ordynariuszem, czyli biskupem diecezji lubelskiej. Pamiętajmy, że Karol Wojtyła z kolei, czyli Jan Paweł II, został mianowany biskupem mając 38 lat, ale był wtedy biskupem pomocniczym. Stefan Wyszyński stał się od razu biskupem ordynariuszem. Mówił, że bardzo wzbierał się przed przyjęciem tej nominacji. Na co kardynał August Hlond powiedział mu, że papieżowi się nie odmawia. Nominację przyjął, i 12 maja 1946 r. miał konsekrację biskupią na Jasnej Górze. To kolejny jego związek z Jasną Górą. Czterdziestopięcioletni człowiek w maju, w miesiącu maryjnym, na Jasnej Górze przyjmuje święcenia biskupie, i stamtąd pisze list do księży diecezji lubelskiej. I w tym liście wyklada sens swojej misji, swojej obecności. Czterdziesty szósty rok! Jeszcze i bandy, i przemoc, przeróżne walki, konflikty, i AK, i komuniści, i spory z Ukraińcami, którzy tam byli niedaleko Lublina — strasznie trudna sytuacja. Wszedł w tą sytuację i zjednął sobie w gruncie rzeczy wszystkich. Biskupem lubelskim był stosunkowo krótko, tylko dwa lata. Dnia 12 XI 1948 r. został na wyraźne życzenie umierającego kardynała Augusta

Hlonda, poprzedniego prymasa Polski, przez papieża Piusa XII mianowany prymasem Polski.

Mówiąc prawdę był to powód do wielkiego zdziwienia. Bo uważano, że jest za młody. Było wtedy sporo biskupów starszych od niego o 20 lat, czuli się lepiej przygotowani do tej nowej roli i nie sądzili, że czterdziestoparoletni świeży biskup będzie dobry do funkcji prymasa Polski. W związku z tym przyjęto go z pewną rezerwą. Na szczęście nie było miejsca na dużo rezerwy, bo prześladowania Kościoła w latach 47 - 48 były tak silne, że nie było mowy o jakiś widocznych rażących podziałach. I objął swoją stolicę prymasowską w Gnieźnie i w Warszawie. Kiedy przybył do Warszawy w 1948 roku powiedział, że jest tutaj na dobre po raz trzeci. Pierwszy raz — kiedy bronił tego szańca przed kolegami rosyjskimi, drugi raz — kiedy był w okresie Powstania, a teraz los przysłał go po raz trzeci i zatem na pewno ostatni. Kiedy udał się do Gniezna z ingresem i objął katedrę prymasowską w Gnieźnie, wtedy po raz pierwszy użył sformułowania, które później pozostało jego zawołaniem, jego zwrotem aż do końca jego życia: „Umiłowane dzieci Boże, dzieci moje”. W ten sposób dał poznać z jednej strony, że „dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem”. Ta niezwykle bliska więź, która tak bardzo zjednywała mu serca ludzi, a jednocześnie poczucie, że nie jest pierwszym lepszym w szeregu, tylko że ci, którzy go słuchają, są powierzeni jego pasterskiej trosce. Te słowa później pozostały jego słowami.

Rok 1949 był dla niego bardzo trudny, ponieważ sytuacja polityczna i społeczna pogarszała się coraz bardziej. Był to czas, kiedy przenoszono na grunt polski rozmaite poczynania Stalina. I próbowano uczynić Polskę jedną z republik Związku Radzieckiego, co znalazło również wykonawców także w samej Polsce.

Na koniec dzisiaj jeszcze tylko kilka krótkich wątków. Mianowicie bardzo utrudniał mu pracę brak konstytucji. Pierwsza konstytucja pojawiła się w r. 1952. Natomiast nie było żadnych podstaw prawnych, na których można byłoby ułożyć stosunki między państwem a Kościołem. I dlatego 14 kwietnia 1950 r. zawarł porozumienie z władzami komunistycznymi. Dlaczego zawarł to porozumienie? Do końca życia o tym mówił — dlatego, że uczyniono z tego powód do ataków na niego. Zawarł to porozumienie z kilku powodów. Po pierwsze dlatego że nie wierzył, że Zachód przyjdzie nam z pomocą, i że będzie nas wyzwalał spod sowieckiej supremacji. Otóż zdawał sobie sprawę, że Zachód w sprawie Polski nic nie zrobi. Zatem, że sytuacja polityczna, która pojawiła się po II wojnie światowej, to nie jest sytuacja przejściowa, na parę miesięcy, tylko to jest sytuacja na wiele lat.

Po drugie, w momencie gdy nie można było osiągnąć wiele, „chciał osiągnąć przynajmniej trochę”. Co oznaczało „trochę”? Ocalić substancję Kościoła, i zabezpieczyć Kościół w przetrwaniu tego najgorszego okresu. I po trzecie wreszcie, traktował swoich rozmówców na tyle poważnie, że im wierzył. Natomiast później stwierdził, że nie było komu wierzyć, nie było z kim rozmawiać. On jednak podchodził do nich z jakimś dużym zaufaniem. Zawarł porozumienie, wskutek czego nazwano go nawet „czerwonym prymasem”. Odczuwał to niesłychanie mocno. Cała złożoność polegała na tym że ci, którzy zawarli z nim porozumienie w 1950 r., oskarżali go jednocześnie na Zachodzie czy puszczali fałszywki, że on współpracuje z komunistami.

W związku z tym jego sytuacja była straszliwie trudna. Został wezwany do Watykanu, po raz pierwszy jako biskup i jako prymas, pozwolono mu tam pojechać. Spotkał się osobiście z papieżem Piusem XII, który był wielkim przeciwnikiem komunizmu, i komunizmu bał się jak ognia. I w osobistej rozmowie z papieżem Piusem XII Stefan Wyszyński wyjaśnił okoliczności, powody i motywy swojej decyzji. Wyjaśnił, że w sytuacji polskiej nie można liczyć na jakiś stan przejściowy, bo to zupełnie wyniszczy Kościół. Papież przyjął tę argumentację i dał mu w tych warunkach wszystkie pełnomocnictwa, zastrzeżone dla Stolicy Apostolskiej.

Okazało się to błogosławieństwem. Dlatego kiedy za rok, dwa sytuacja zaczęła się coraz bardziej pogarszać i komuniści zamknęli granice, i prymas nie mógł wyjeżdżać do Rzymu, wtedy miał wszystkie pełnomocnictwa do rozstrzygania spraw, które musiały być w Polsce robione. Komuniści sądzili, że mają do czynienia z młodym biskupem i że uda im się go wykiwać. Starali się podzielić biskupów na tych, którzy im sprzyjają, i na tych, którzy są absolutnie nie do przewyciężenia. I starali się robić wrażenie istnienia podziału — zawsze „dziel i rządź”!

W roku 1952 postawili jako jeden z warunków, że premier będzie mianował biskupów, natomiast wojewoda będzie mianował proboszczów. I chcieli dla tej sprawy pozyskać prymasa. Na to prymas powiedział: „Non possumus!” — „Nie możemy!” Koniec, dalej ani kroku! Wywołało to furję z ich

strony. Bo spodziewali się, że uda im się stworzyć w Polsce, przetestowany później w Chinach, model Kościoła narodowego. Do dzisiaj w Chinach istnieje Kościół narodowy. Że uda się stworzyć struktury kościelne podległe premierowi i wojewodom. A kto nie będzie chciał należeć do tego Kościoła, będzie współpracownikiem Zachodu, współpracownikiem Watykanu, Ameryki itd. i trzeba go będzie zepchnąć na boczne tory. Wobec tych prób uchińszczenia Polski Stefan Wyszyński powiedział „Nie!” W Boże Ciało 1953 r., na procesji na Krakowskim Przedmieściu, powiedział mocne swoje „Nie”, że Kościół już w żaden sposób nie może pertraktować. Że nie może uczynić żadnego kroku więcej, ponieważ wykazał mnóstwo dobrej woli, i to zostało sprzeniewierzone. Aresztowanie było kwestią czasu. Komuniści zastanawiali się, czy zrobić to przed wakacjami, czy po wakacjach. Doszli do wniosku, że ze względu na nieco napiętą sytuację lepiej to będzie zrobić po wakacjach, po wrześniu. Nie wiem, jak wtedy wyglądały wakacje, na pewno nie tak, jak dzisiaj. Ale widocznie była to jakaś cezura, nie tyle dla ludzi, ile dla tzw. elit politycznych. Po prostu ci komuniści wyjeżdżali wtedy do Bułgarii, do ZSRR, do Czechosłowacji itd. i woleli na ten czas nie mieć kłopotów.

We wrześniu 1953 r. zapadła decyzja o jego aresztowaniu. Scenariuszy było kilka. Nie brakowało głosów, że należy się go po prostu pozbyć. Bano się tego zrobić. Pojawiła się koncepcja, że należy go aresztować i w więzieniu powoli doprowadzić albo do złamania, albo do wyniszczenia organizmu i do jego śmierci. Pojawiła się wreszcie koncepcja, że należy go izolować. Kiedy go aresztowano, potem ze smutkiem i żalem stwierdzał, w jego obronie stanął tylko pies i Niemiec. Pies Baca ugryzł ubeka, który wyciągnął rękę w stronę prymasa, w rękę. I rzeczywiście wyraźny protest zgłosił tylko ówczesny zarządca diecezji warmińskiej, olsztyńskiej, który był Niemcem. Podczas gdy inni milczeli, ów Niemiec upomniał się głośno o Polaka, o prymasa. Prymas do końca życia wspominał, że to był najtrudniejszy czas w jego życiu. Nie z powodu tego, że został aresztowany, ale z powodu tego, że w aresztowaniu pozostał samotny. Aresztowanie odbyło się pod osłoną nocy, i w jego obronie nikt nie stanął, z wyjątkiem zwierzaka i Niemca.

Nie sposób państwa trzymać dalej, bo mamy już za sobą godzinę. Być może trzeba będzie wrócić, i jakby dokończyć tego niezwykłego życia.

Prymas był w czterech miejscach odosobnienia. Najpierw Rychwałd, później Stoczek Warmiński, później Prudnik, potem Komańcza. Wszystkie cztery miały jedno wspólne. Mianowicie były bardzo blisko granic Polski. A to oznaczało, że w przypadku jakichkolwiek niepokojów można było internowanego prymasa przerzucić poza granice, czy to na teren Czechosłowacji, czy do ówczesnego Związku Radzieckiego.